

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Stareńkie zaklęcie

On jest młodym bogatym singlem, który lubi żyć na maxa - czytamy w programie do wyreżyserowanej przez Annę Trojanowską sztuki „Surwiwal” Anny Burzyńskiej. Tak jest: „singiel”. Niestety: „życie na maxa”, „Singiel”, „max”, „wypas”, „wypas na maxa”, „bryka wypasiona”, bycie „kul”, bycie „trendy”, bycie „dżezi”, „komóra”, puścić „semesa”, puścić „meila”, „singiel”, „dżezi”, „wypas”, „singiel”, „wypas”, „singiel”, „singiel”, „singiel”... Krótko rzecz ujmując: tere-fere kuku.

Mentalność ludzi z plemienia tere-fere kuku to musi być nędza nadzwyczajnie przykra w obejściu. Co się może kryć pod tym przysłowiowym „singlem” bądź „semesem”? Jakie ciemności, jeśli kto woli - jak potężna płaskość musi od wewnątrz rozsadać czaszki, które dzień w dzień, od świtu do nocy, bez wytchnienia nic innego z siebie nie wycedzają, jeno „wypas” i „dżezi”, „wypas” i „dżezi”, po czym - dookoła Wojtek? A jakby tego było mało - wszystko to czynią na głupawym uśmiechu makaka! Po ludzku pytając: o cóż wam biega, reprezentanci wielce współczesnego plemienia tere-fere kuku?

W „Surwiwalu” Burzyńskiej rzeczono-go „singla” żyćko na „maxa” na tym mianowicie ma polegać, że „singiel” ów ma pragnienie „wyjścia na plus”, to znaczy, iż ma pragnienie zarażenia się wirusem, przszą sobie wyobrazić - HIV. Rzecz jasna, nie mam pewności, ale chyba niewiele się pomyłę, gdy powiem, że tu bodaj o zabicie nudy chodzi. O nudy zabicie lub też o życie na gorąco, czyli o zafundowanie sobie bardzo miłych, w żadnym wypadku nie lefnich wrażeń.

Zresztą, jak ów bęcwalizm zwal, tak go zwal, grunt, że „singiel” swój bęcwalizm w życie wprowadza skutecznie, umieszczając w Internecie ogłoszenie wiadomej

już treści. „Chcę wyjść na plus”. I oto nad ustawionym na środku widowni podestem zapadają ciemności, a gdy reflektory na powrót błysną - już będzie tam Andrzej Deskur, czyli „singiel”, oraz ona, ta, która odpowiedziała na internetowe wezwanie, czyli Patrycja Durska. Znów zerkam w program i czytamy: *młoda, zwykła dziewczyna z sąsiedztwa, a raczej z miejskiego blokowiska*. Zaiste, urzekająca jest ta nasza zwycięczajność, która na tym polega, iż kumpelka z trzepaka ma regularnego HIV-a, w związku z czym nie ma się za bardzo czym przejmować, bo HIV jak HIV, mój Boże - normalna rzecz. No i się zaczyna...

Gdyby paniom Burzyńskiej i Trojanowskiej szło tylko o kolejny wstrząsający banał typu: patrz Polaku, patrz i niechaj szarpnie jestestwem twym ła oto opowieść o młodych, kompletnie uczuciowo zagubionych w naszych kapitalistycznych czasach nadwiślańskich - wtedy nawet bym się nie zająknął. I też wolałbym na piwo ruszyć niż pióro mękolić łapą senną, gdyby sednem „Surwiwalu” miał być portrecik mentalności dzisiejszych „smyków” nadzianych, albo i nienadzianych. Wolałbym, że sięgnę po kolejną stylistyczną perłę plemienia tere-fere kuku, wolałbym „browarek w sagan wpuścić”, albowiem niegdysiejsza mordęga moja nad prozatorskim ołowiem niejakej Masłowskiej - do końca dni moich w zupełności mi wystarczy.

Ale - nie. Nie milczę i nie idę na piwo. Rzecz zwyczajnie w tym, że coś tam, pod ledwie godzinę trwającym ping-pongiem stylistycznym - jest. W aktorstwie Deskura i Durskiej tkwi jakaś dziwna jasność. Nic wielkiego, po prostu jasność. „Singiel” oraz właścicielka rzeczonoj, trzyliterowej fikuśności, bez której żyć wręcz nie sposób, są wobec siebie jakoś tak ustawieni, jak gdyby tym przez Burzyńską zapisa-

nym ping-pongiem plemienia tere-fere kuku - tylko coś przed sobą odgrywali. Co? Co chcą nędzą „wypasów” i „maxów” przykryć? Co tkwi na dnie ich morderczo wysztucznionego bęcwalizmu stylistycznego? Jaka delikatność? I czy w ogóle delikatność?

Przez godzinę coś o życiu gadają. Coś, to znaczy - skrajne banały. W każdej z sześćdziesięciu minut, zakontraktowaną pochopność odwlekają do minuty następnej. Milczą, skaczą sobie do oczu, coś piją, miotają się po tej swojej maleńkiej, czarnej skrzyni, albo też nawet palcem kiwnąć nie mają sił bądź chęci. Ja zaś do minuty ostatniej się waham, czy wewnątrz ich czaszek tkwi coś więcej niż tylko płaskość i suchość listopadowych stepów? A jeśli tak, to co? Może zwyczajnie ludzkie pragnienie sensownego przetrwania; pragnienie, co się jakoś tam kolebie w tytule? A może oni po prostu chcą, bardzo chcą wreszcie móc przestać bredzić, móc odrzucić kit kolejnej z nowomów - i wypowiedzieć któreś ze stareńkich, potężnych, pięknych zaklęć ludzkości?

Do ostatniej minuty jest w nich jasność nienazwana. Do ostatniej minuty grają przed sobą fundamentalne kłamstwo niby to znudzonych życiem smarkaczy. Do ostatniej minuty przez powietrze toczy się nędza wszystkich tych „na maxa wypasionych” bęcwalskich kulfonów semantycznych. Do ostatniej minuty, z coraz intensywniejszą ciekawością czekam na ulgę odpowiedzi. I ulga przychodzi. Zanim spadnie z nieba ostatnia ciemność - zadzwoni stareńkie, potężne, piękne zaklęcie ludzkości. On powie do niej: przytul się.

Teatr Ludowy, „Scena pod Ratuszem”. Anna Burzyńska „Surwiwal”. Reżyseria Anna Trojanowska. Scenografia Paweł Walicki.